ROZMAITOŚCI.

Dnia 10. Września. № 37. Roku 1856.

POWIEŚCI HENRYKA CONSCIENCE.

Ciemna Rózia.

(Ciąg dalszy.)

„A, przecież mię poznajesz?“ — zawołał przybysz uradowany.

„Czy cię poznaję?“ — odparł grabarz szyderczo. — „Sam nie wiem. Przypominam sobie tylko, iż pewien niegodziwy zazdrośnik zepchnął mię raz z mostu za to jedynie, że kochała mię Rózia, córka kołodzieja! O, od tego czasu niejedną już poświęcono świeczkę w kościele....“

„Ciebie Rózia kochała?“ — zawołał wędrowca przerywając. — „Mówisz nieprawdę. Jato byłem szczęśliwym kochankiem córki kołodzieja!“

„Tak ci się zdawało zazdrośniku! Nie nosiłaż przez cały rok na palcu pierścionek poświęcany, który przyniosłem dla niej z Scherpenheuwel? Wszak sam zdarłeś go Rózi z palca, i wrzuciłeś w rzekę.“

Przybysz uśmiechnął się smutnie.

„Wawrzyńcze! Wawrzyńcze!“ — rzekł łagodnie. — „W dalekie lata zapędzamy się myślą! Stajemy się dziećmi wspomnieniem. Wierzaj mi, Rózia nie kochała cię nigdy. Przyjęła pierścień od ciebie, bo był poświęcany. Przyjęła go w upominek przyjaźni, nie miłości. Byłem w czasach mojej młodości nazbyt może hardym i szorstkim; nie zawsze postępowałem sobie wspaniałomyślnie z moimi towarzyszami; lecz 35-letni przeciąg czasu, który zmiótł tyle rzeczy i ludzi, uwolnił mię od wszystkich złych narowów. O, mój Wawrzyńcze! Jedyny człowiek, który o mnie nie zapomniał, maż nieprzyjacielem być moim? Namyśl się inaczej; podaj mi rękę, i bądźmy przyjaciołmi. Uszczęśliwię cię na całą resztę życia twojego!“

Grabarz cofnął rękę z odrazą, i rzekł ponuro:

„Zapomnieć! przebaczyć ci! Już zapoźno! Zatrułeś mi życie! Nie było ani jednego dnia, w którym bym nie pomyślał o tobie. A sądzisz-że, iż myśli moje błogosławiły twojej pamięci? Sam sobie na to odpowiedz, bo sam to wiesz najlepiej, ileś mi złego wyrządził.“

Przybysz skrzyżował ręce na piersiach, wzniosł oczy ku niebu, i zawołał z rozpaczą:

„Mój Boże! Mój Boże! Tylko nienawiść mię poznaje! tylko nienawiść nie zapomniała!“

„O, dobrześ zrobił“ — dorzucił grabarz z uśmiechem — „dobrześ zrobił, żeś przyszedł umrzeć we wsi rodzinnej. Przechowuję od dawna grób dla ciebie. Długiego Jana pogrzebię tam na wzgórku, pod samą rynwą kościoła. Niech woda kościelna zmywa złośliwość z twego ciała.“

Jan Slaets wzdrygnął się, a oko zapłonęło mu gniewem i oburzeniem. Lecz przez krótką tylko chwilę trwało to gwałtowne wzruszenie. Wnet uspokoił się znowu, i z smutnem politowaniem spojrzał na grabarza.

„Odepchnąłeś rękę brata, powracającego po 35-letniej niebytności“ — rzekł cierpko. — „Gorzkiem szyderstwem powitałeś dawnego towarzysza, zaledwie go obaczywszy. To nieszlachetnie Wawrzyńcze. Lecz nie mówmy już o tem. Powiedz mi tylko, gdzie spoczywają moje rodzice?“

„Niewiem“ — odmruknął grabarz. — „Już dwadzieścia i pięć lat temu, jak oboje pomarli. Przynajmniej ze trzy razy przekopywałem miejsce, gdzie ich pogrzebano.

Słowa te sprawiły tak przykre wrażenie na przybyszu, że nie mógł już żadnego wydobyć z siebie słowa. Z schyloną na piersi głową, z utkwionem w ziemię okiem stał niemy i nieruchomy na miejscu.

Grabarz tymczasem zaczął kopać dalej. Lecz jakoś niesporo szła mu robota. Głębokie wzruszenie zaczęło przebijać się w jego twarzy. Pojmował on gorzką boleść przybysza, a przeląkł się swojej mściwości, dla której tak nielitościwie obszedł się z dawnym towarzyszem. To stopniowe przetwarzanie się uczuć malowało się coraz widoczniej na twarzy starca. Uśmiech szyderczy przestał wykrzywiać mu usta, a oko jego spoczęło z politowaniem na nieszczęśliwym rywalu mło-

dzieńczych lat. Nagle przysunął się żywo do niego, i pochwyciwszy go za rękę, rzekł spokojnie lecz szczerze:

„Przebacz mi Janie, postąpiłem sobie z tobą okrutnie i nielitościwie. Lecz wieszże, ile ucierpiałem przez ciebie?“

„Były-to winy młodości, mój Wawrzyńcze!“ — odparł przybysz ściskając z uczuciem rękę dawnego rywala. — „W mojem sercu wygasła już dawno wszelka iskra zawiści. Widziałeś moją radość, gdyś wymówił moje nazwisko. Ach, jestem ci teraz niewymownie wdzięczny, lubo gorzkiem szyderstwem zraniłeś mi serce w pierwszej chwili. Lecz nic mówmy już o tem. Pokaż mi raczej gdzie leży Rózia? O, uraduje się ona w niebie, gdy nas ujrzy pojednanych przy swoim grobie!“

„Przy swoim grobie?“ — odrzekł grabarz z zadziwieniem. — „Nie podobało się jeszcze panu Bogu powołać niebogę z tego świata!“

„Jakto? co mówisz?“ — zawołał przybysz.— „Rózia nie umarła, Rózia żyje jeszcze?“

„Żyje, jeśli nazwać można życiem okropny stan, w jakim się biedna znajduje.“

„Przerażasz mię! Mówże na miłość Boga! Jakieżto dotknęło ją nieszczęście?“

„Rózia oślepła“ — odrzekł grabarz półgłosem.

„Oślepła? Rózia ślepa! Rózia nie ma wzroku, aby mię ujrzeć! O mój Boże, mój Boże!“

I przytłumiony boleścią padł bezsilnie na ławkę.

Grabarz usiadł obok niego, i ozwał się po chwili:

„Ślepa od dziesięciu już lat, żebrze dziś kawałka chleba. Co tydzień daję jej kilka groszy, a gdy żona chleb piecze, znajdzie się zawsze osobny bochenek dla niej.“

Przybysz zerwał się z miejsca, i uścisnąwszy serdecznie rękę grabarza, rzekł wzruszony:

„Dzięki ci, dzięki mój drogi! Bóg ci odpłaci dobry uczynek. Ja sam obowiązuję się wynagrodzić cię w jego świętem imieniu. Jestem bogaty — bardzo bogaty. Od dzisiaj nieraz się ujrzymy. A teraz powiedz mi cożywo, gdzie mieszka Rózia?“

A mówiąc te słowa, zwrócił się ku bramie cmentarza, i pociągnął grabarza za sobą.

Wawrzyniec wskazał palcem ku jakiemuś przedmiotowi w oddali.

„Widzisz ten mały dymiący się komin pod lasem? To chata Nelisa Oms, co robi miotły. Tam mieszka Rózia.“

Nie czekając dalszych objaśnień, pospieszył Jan Slaets w wskazaną stronę, i stanął niebawem u samotnej chaty pod lasem. Byłoto skromne pomieszkanie drewniane, oblepione gliną, i pobielone zewnątrz.

Przed progiem chaty bawiło się czworo dzieci, wsadzając w piasek kwiaty bławatu i kąkolu. Wszystkie były bose i prawie na pół nagie. Najstarsze z nich — chłopczyna o sześciu latach — miało na sobie koszulę i nic więcej. Nagłe przybycie nieznajomego przerwało niewinną zabawę dzieci. Młodsze wypatrzyły się na nieznajomego z przestrachem, najstarszy zaś chłopczyna zmierzył go okiem zdziwionem i ciekawem.

Przybysz uśmiechnął się do dzieci, i wszedł spiesznie do chaty. Zastał w niej mężczyznę, wiążącego miotły i jego żonę, przędącą na ławeczce pod piecem.

Oboje mogli mieć zaledwie trzydzieście i kilka lat. Na pierwszy rzut oka wydawali się wcale zadowolnieni z swojego losu. W izbie panowała wzorowa schludność, w całem urządzeniu jaknajwiększy ład i porządek.

Wejście nieznajomego zdziwiło ich poniekąd. Oboje zerwali się ochoczo, i postąpili kilka kroków naprzeciw niemu. Mniemając że wstąpił do chaty zapytać się o drogę, przysunął się mąż ku drzwiom, aby zaraz uczynić zadość jego żądaniu. Gdy jednak nieznajomy wzruszonym i drżącym głosem zapytał, czy tu mieszka Rózia Meulinx, spojrzeli mieszkańcy chaty szczególniejszym wzrokiem po sobie, i zdawali się tak pomieszani, że z początku nie mogło żadne z nich zdobyć się na odpowiedź. Nakoniec ozwał się mąż:

„Tak jest. Rózia tu mieszka; lecz wyszła właśnie po jałmużnę. Życzysz pan sobie pomówić z nią?“

„Chciałbym wiedzieć, gdzie się znajduje w tej chwili?“ — pytał gość dalej. — „Nie możnaby ją znaleźć natychmiast?“

„To trudno. Poszła z naszą Tereską po zwyczajnej kolei tygodniowej. Lecz najdalej za godzinę będzie niezawodnie z powrotem.“

„A mogęż zaczekać u was przez ten czas, moi kochani?“ — zapytał przybysz.

Miasto odpowiedzi pospieszył mąż do przyległej izdebki, i przyniosł krzesło drewniane, które acz twarde i niezgrabne, było przecież wygodniejsze cokolwiek od stołka w pierwszej izbie. Żona tymczasem wydobyła ze skrzyni obrus śnieżnej białości, i przykrywszy nim krzesło wniesione, zaprosiła uprzejmie nieznajomego, aby raczył usiąść.

Ta szczera i prostoduszna gościnność wzruszyła naszego przybysza. Oddał z serdecznem podziękowaniem obrus kobiecie, i usiadłszy

na gołem krześle, zaczął z uwagą przypatrywać się izbie, jakgdyby szukał czegoś, coby mu mogło przypomnieć Rózię. Wiodąc tak okiem do koła, uczuł nagle jak drobna jakaś ręka wcisnęła się w jego dłoń, i głaskała mu palce. Zdziwiony tą oznaką przyjaźni, obrócił się żywo nasz przybysz, a spojrzenie jego spotkało się z błękitnem okiem małego chłopczyny, który z takiem spoglądał nań przymileniem, jakgdyby poznawał w nim ojca lub brata.

„Chodź tu Piotrusiu!“ — zawołała naraz matka. — „Ktoż widział być tak natrętnym, moje dziecko!“

Lecz mały Piotr nie zdawał się słyszeć napomnień matki. Spoglądał ciągle na gościa, i przymilał mu się z osobliwszem zajęciem. Ta dziwna sympatya chłopczyny wzruszyła mocno przybysza.

„Moje dziecię, jakże słodkie i lube masz oczy!“ — rzekł rozczulony. — „Poczekaj dam ci coś, kiedyś taki grzeczny.“

I mówiąc to, wydobył z kieszeni piękną perełkami haftowaną sakiewkę o złotych obrączkach, a wysypawszy z niej kilka sztuk drobnej monety, podał je dziecku. Chłopczyna spoglądał zachwycony na swój podarek, lecz nie wypuścił ręki nieznajomego.

„Bądźże grzecznym Piotrusiu“ — rzekła matka głosem nagany. — „Podziękuj panu. Pocałuj go w rękę.“

Chłopiec pocałował w rękę nieznajomego, a schyliwszy głowę, rzekł wyraźnym głosem: „Dziękuję, panie długi Janie!“

Nic w świecie nie mogłoby wstrząść gwałtowniej naszym przybyszem, jak te słowa z niewinnych ust dziecięcia. Zerwał się z krzesła, a łzy zalały mu oczy. Potem pochwycił chłopczynę na kolana, a wpatrując się w jego małą twarzyczkę, zawołał:

„O mój mały aniołku! Więc znasz mię, nie widziawszy mnie nigdy! Ktoż ci powiedział jak się nazywam?“

„Ślepa Rózia!“ — odpowiedział chłopczyna.

„Lecz jakimże sposobem poznałeś mię od razu. Czyż sam Bóg oświecił twój umysł dziecięcy?“

„O, ja pana natychmiast poznałem“ — mówił dalej Piotruś! — „Kiedy prowadzę Rózię po żebrach, mówi zawsze o panu. Onato powiedziała mi, że pan jesteś wysoki, że masz czarne połyskujące oczy, i że powrócisz kiedyś, i przyniesiesz nam wiele ślicznych rzeczy. Nie bałem się pana, bo Rózia mi mówiła, że powinienem kochać pana, i że mi przywieziesz łuk i strzałę....“

Jan Slaets słuchał z zachwyceniem naiwnych zwierzeń chłopięcia. Nagle uścisnął go serdecznie, i uroczystym rzekł głosem:

„Ojcze! matko! Dziecię to jest bogatem. Wezmę je na wychowanie, poszlę do szkół, i hojnie wyposażę. Chcę aby całe swoje szczęście winne było tej chwili, w której mię tak niespodzianie poznało, i wymówiło moje nazwisko.“

Rodzice osłupieli z zdziwienia i radości.

„O, panie! zkądże tyle łaski dla dziecka mego!“ — przemówił nareście ojciec. — „My pana wszyscy poznaliśmy od razu, lecz nie śmieliśmy wierzyć oczom. Rózia nie mówiła nam nigdy, że Jan Slaets jest bogatym, jest *panem*.“

„O, to i wy znacie mię, dobrzy ludzie!“— zawołał Jan. — „I wy także! Jestem więc w kole przyjaciół, znachodzę rodzinę i krewnych tam, gdzie spodziewałem się znaleźć tylko śmierć i zapomnienie!“

Gospodyni chaty wskazała ku okopconej Matce Boskiej na piecu, i rzekła:

„Co sobota paliła się tam świeca na ubłaganie powrotu.... lub za duszę Jana Slaets.“

Przybysz wzniósł nabożnie oczy ku niebu, i jakgdyby nagle od jakiegoś przykrego uwolniony ciężaru, zawołał z uniesieniem:

„Dzięki ci, dzięki mój Boże! Dałeś miłości trzykroć większą potęgę od nienawiści! Mój nieprzyjaciel zachował mi w sercu urazę i gorycz na powitanie; kochanka moja żyła jedynie pamięcią o mnie. Jej miłość udzieliła się wszystkim otaczającym, zapoznała mię ze wszystkiemi, i kazała kochać mię wszystkim, lubo byłem o sześćset mil oddalony! O dzięki ci, dzięki, mój Boże! Jestem wynagrodzony!“

Długie milczenie nastało po tych słowach. Jan Slaets z trudnością powściągał wzruszenie, które uniosło mu duszę. Mieszkańcy chaty szanowali jego szlachetne rozrzewnienie. Mąż powrócił do swojej roboty, i czekał cierpliwie chwili, aż gość sam się ozwie na nowo.

Jan Slaets trzymał Piotrusia wciąż na kolanach; uspokoiwszy się zaś cokolwiek, rzekł:

„I od dawna już mieszka Rózia u was?“

Gospodyni przysunęła się z kołowrotkiem wpobliże gościa, i z widocznem upodobaniem zagaiła dłuższą przemowę:

„Zaraz panu opowiem, jakim sposobem Rózia do naszego przybyła domu. Naprzód musisz pan wiedzieć, że kiedy stary Meulinx umarł, dzieci podzieliły się równo majątkiem. Lecz Rózia, która w żaden sposób nie chciała

iść za mąż — nie potrzebuję panu mówić dlaczego — ustąpiła swojej schedy jednemu z braci, pod warunkiem że do śmierci będzie mogła mieszkać u niego. Przytem robiła czepki, i miała z tego gotowy zawsze grosik, na każdą nadzwyczajną potrzebę. Używała zaś każdego szeląga jaknajprzykładniej, na same dobre uczynki. Szczególniej wspierała chorych, i nie tylko sama z największą pielęgnowała ich starannością, lecz jeszcze za swoje własne pieniądze przywoływała lekarzy, i płaciła za leki. Dla każdego chorego było u niej zawsze jakieś pocieszające słowo na ustach, jakiś pokrzepiający środek w kieszeni. Pewnego razu, właśnie w szóstym miesiącu naszego zamęźcia, powrócił mój mąż ciężko chory do domu. Czy słyszysz pan ten kaszel? Pozostał on mu od tego czasu. Dawno już byłby mój biedny Nelis spoczywał na cmentarzu, gdyby nie Pan Bóg i nie Rózia. Och, gdybyś pan wiedział, ile ona świadczyła nam w tem nieszczęściu! Przyniosła nam kołdry, bo było zimno, a my byliśmy ubodzy. Przywołała dwóch obcych lekarzy z miasta, aby się naradzili nad chorobą Nelisa. Dzień i noc czuwała sama przy nim, łagodząc zarazem i jego cierpienia i moją rozpacz. Oprócz tego dostarczała nam jeszcze pieniędzy na wszystkie potrzeby i lekarstwa. O, bo też była ona lubioną przez wszystkich w okolicy, a gdy poszła do pani zamku, lub do któregokolwiek z zamożniejszych wieśniaków, i ozwała się prośbą o jałmużnę dla biednych, otrzymała zawsze datek podwójny. I tak wspierała nas, panie, przez sześć tygodni, przez całą chorobę Nelisa, i potem jeszcze nie opuściła, dopóki nie nabrał sił do pracy....“

„Ach, jakże musicie kochać tę biedną ciemną Rózię“ — przerwał Jan Slaets z westchnieniem.

Nelis podniosł głowę, i rzekł ze łzami w oczach:

„Gdybym krwią moją mógł okupić wzrok Rózi, przelałbym ją chętnie do ostatniej kropli.“

Słowa te, wymówione z prawdziwym zapałem, wywarły tak głębokie wrażenie na dawnym kochanku Rózi, że poczciwa kobieta musiała skinąć na męża, aby nie mówił więcej w tym tonie, sama zaś opowiadała dalej:

„W trzy miesiące poźniej pobłogosławił nas Bóg dziecięciem, które w tej chwili widzisz pan u siebie na kolanach. Trzymali je do chrztu Rózia i brat męża mojego, Piotr. Gdy przyszło nadać mu imię, żądała Rózia, aby się nazywało Jan. Lecz brat męża, człowiek uparty lubo zresztą poczciwy, chciał mu koniecznie swoje własne imię narzucić. Owoż nazwaliśmy je Jan Piotr, ale wołamy je zwyczajnie po drugiem imieniu, aby nie obrazić chrzestnego ojca. Jedna tylko Rózia nazywa chłopczynę Janem. On też przyzwyczaił się z czasem do tego, i wie iż nazywa się Janem, ponieważ pan takież samo masz imię.....“

Jan Slaets przycisnął chłopczyka z uczuciem do swoich piersi, i wpatrzył się w milczeniu w jego małą, uśmiechającą się twarzyczkę. Żona Nelisa ciągnęła tymczasem swoje opowiadanie:

„Brat Rózi wdał się naraz w jakieś niepewne przedsiebiorstwo z kupcami w Anvers. Dostarczał im wszełkiego rodzaju zboża, które zakupywano we wsiach pobliskich. Słychać było, że dorabia się tym sposobem ogromnego majątku, bo co tydzień wysyłał z dziesięć ładownych fur do miasta. Z początku szło wszystko w istocie jaknajlepiej, wtem zbankrutował jeden z spólników handlu, a biedny Batysta Meulinx ujrzał się żebrakiem. Cały jego majątek nie wystarczył na pokrycie mniejszej połowy długów. Umarł nieborak ze zgryzoty. Niech Bóg nie pamięta mu grzechów! Po tym smutnym wypadku sprowadziła się Rózia do starego Flinka. Zaledwie jednak wstąpiła w progi nowego pomieszkania, powrócił z wojska syn Flinka Karol, i przyniósł z sobą zaraźliwą chorobę oczu. W piętnastym dniu po powrocie do domu ociemniał biedak zupełnie, nabawiwszy tegosamego nieszczęścia Rózię, która idąc za popędem swojego szlachetnego serca, pielęgnowała go ciągle w słabości. Takimto sposobem ociemniała nieboga. Stary Flink umarł, a jego dzieci rozpierzchły się po świecie. Ślepy Karol znalazł przytułek w pobliskim klasztorze. Rózię zaprosiliśmy zaraz do siebie, na mieszkanie dopóki zechce. Zapewniliśmy ją o naszej szczerej wdzięczności za wyświadczone nam niedawno dobrodziejstwa, i przyrzekliśmy święcie pracować dniem i nocą z ochotą, aby jej na niczem nie zbywało. Rózia przyjęła z radością przytułek w naszym domu. Przybyła do nas przed sześcią laty, i stała się odtąd cząstką naszej rodziny. Ach, bo też ona taka dobra i taka miła!....“

„A przecież żebrze!“ — szepnął Jan Slaets z westchnieniem.

„Tak jest panie“ — odpowiedziała żona Nelisa z wyrazem dumy obrażonej. — „Lecz Bóg świadkiem, iż nie nasza w tem wina. Nie myśl pan, żebyśmy tak prędko zapomnieli

dobrodziejstw Rózi. Ach, jakże źle sądzisz pan o nas! Gdybyśmy sami zaprzęgać się mieli do pługa, sami z głodu umierać, nie dalibyśmy żebrać Rózi z potrzeby. Lecz ona uparła się przy tem tak mocno, że niepodobna było odwieść ją od tej myśli. Sześć miesięcy wzbranialiśmy jej wychodzić po jałmużnie, lecz w końcu musieliśmy zezwolić. Poczciwa Rózia wyobrażała sobie, iż jest ciężarem dla nas i dla szczupłego gospodarstwa naszego, i zachorowała z zmartwienia. Widząc to, musieliśmy chcąc nie chcąc uledz jej prośbom. Zresztą nie jest to nic krzywdzącego dla osoby ciemnej jak ona. Dzięki Bogu nie zbywa nam na niczem, mimo nasze ubóstwo. Jeśli więc dla przyjemności Rózi przyjmiemy od niej jakąś cząsteczkę jej jałmużny, wracamy jej to zaraz w dwójnasób. Nie wiedząc o tem, jest ona lepiej od nas ubrana, i ma też jadło lepsze niż nasze. Stoi dla niej codziennie osobny garnuszek przy ogniu. Ot i teraz, widzisz pan parę jaj, a w ryneczce kipi masło do jej kartofel. Dobroć i szlachetność Rózi zasługuje wprawdzie na daleko większą nagrodę, lecz jesteśmy niestety zbyt ubodzy, aby się zdobyć na nią...."

Słuchał tego przybysz w głębokiem milczeniu i zadumaniu, lecz coraz jaśniejszy uśmiech szczęścia na twarzy i zwilżone łzą oko dawały jawne świadectwo, że jakieś słodkie uczucia rodziły sie tymczasem w jego sercu.

Skończywszy swoje opowiadanie, zaczęła żona Nelisa prząść dalej na kołowrotku. Jan Slaets trwał przez niejakiś czas w dawnem milczeniu; naraz jednakże zerwał się z miejsca, i przystąpiwszy żywo do Nelisa, który wciąż wiązał miotły, zawołał rozkazującym głosem:

„Porzuć tę robotę!"

Miotlarz nie zrozumiał tego żądania, i zdziwił się niemało, słysząc tak nagłą zmianę w wyrazie głosu Jana.

„Porzuć mówię te miotły" — powtórzył Jan — „i podaj mi rękę sołtysie!"

„Sołtysie?!" — mruknął miotlarz zdumiony.

„Tak jest!" — zatwierdził Jan Slaets — „wyrzuć mi zaraz na dwór te miotły! Kupię ci bracie sołtystwo, dam ci cztery dojne krowy, parę koni i wszystko czego potrzeba do gospodarstwa. Jakto, nie wierzysz mi?" — A mówiąc to pokazał przybysz garść złota zdumionemu miotlarzowi i jego żonie. — „Widzicie że nieżartuję. Mógłbym dać wam to wszystko zaraz, lecz nazbyt was cenię i kocham, aby wam pchać pieniądze do ręki. Otoż kupię wam sołtystwo jak powiedziałem, i wyposażę wam dzieci."

Poczciwi małżonkowie spojrzeli po sobie zdumionem i rozrzewnionem okiem, i nie mogli uwierzyć swojemu szczęściu. Jan Slaets miał im jeszcze dobitniej ponowić zapewnienie, gdy wtem mały Piotruś pociągnął go za rękę, jakgdyby chciał mu coś szepnąć do ucha.

„Coż mi to masz powiedzieć mój aniołku?" — zapytał Jan Slaets, schylając się do chłopczyny.

„Panie Janie" — rzekło dziecię. — „Oto ludzie wracają z pola. Wiem gdzie teraz jest Rózia. Czy mam jéj donieść żeś wrócił?"

Przybysz pochwycił dziecię za rękę, i zbliżył się z niem ku drzwiom.

„Pójdź, prowadź mię" — rzekł mu z pospiechem. (D. n.)

O MIŁOŚCI MAŁŻEŃSKIEJ W DAWNIEJSZYCH CZASACH.

Może kto ręką sławy dostać w boju,
Może wymową i rządem w pokoju,
Lecz jeśli żona męża nie ozdobi —
Mąż próżno robi.

Kto z gospodarstwa a kto zaś z wysługi
Zbierze pieniądze i z kupiectwa drugi,
Jeśli sie żona nie przyłoży k'temu —
Zginąć wszystkiemu.

Żona uczciwa ozdoba mężowi,
I najpewniejsza podpora domowi,
Na niej rząd wszystek — swego męża ona
Głowy korona.

Te poważne słowa poety z Czarnolasu — poety który patrzył na małżeńską miłość króla Zygmunta Augusta i Barbary — wpoiły się głęboko w serca i umysł jego ziomków. Mało gdzie ceniono wyżej błogosławieństwo „żony uczciwej" jak w ojczyźnie Jana Kochanowskiego. Od progów ubogiej zagrody szlacheckiej aż do stopni tronu królewskiego, zdarzały się codziennie przykłady niezwyczajnej miłości i czci małżeńskiej. Pamięć szczęśliwego pożycia pod strzechą chudopacholską minęła bez odgłosu w kronikach; zpomiedzy słynnych zaś z przywiązania dostojnych i najdostojniejszych małżeństw w narodzie ktoż nie przypomni sobie do razu króla Jana III i Maryi Kazimiery? Toć znamy wszyscy owe pie-

szczoty listów królewskich do żony, owe „Jedyna duszy i serca pociecho, najśliczniejsza i najukochańsza Marysienko!“ — owe „Całuję zatem i ściskam ze wszystkiej duszy wszystkie śliczności W. Mości, serca mego jedynego!“ Czytała je królowa w każdym liście królewskim, i czyta je odtąd cała prawie publiczność europejska, w przekładach na różne języki zagraniczne, w kilkokrotnie powtarzanych edycyach korrespondencyi. Rozgłosiły się owszem te pieszczoty daleko więcej, niż się zgadza z historyczną sławą króla Jana III. Poznawszy go bowiem tak przywiązanym małżonkiem, nie mogli uczeni i nieuczeni wstrzymać się od posądzenia go o zbytnią uległość żonie, z uszczerbkiem spraw krajowych, co w rzeczywistości dalekiem jest od prawdy. Ale pomijając tę uboczną przedmiotowi naszemu kwestyą, wolimy wymienić tu drugą parę dostojną, blizkoczesną królowi Janowi i Maryi Kazimierze, stojącą także w pobliżu tronu. Przechowały się po niej ułamki również tkliwej korrespondencyi, któraby tylko zebrania i druku potrzebowała, aby obok królewskiej „Marysienki“ dać nam poznać niemniej kochaną i słodką W i k t u l e ń k ę. Byłato Wiktorya z Leszczyńskich Potocka, wojewodzina Kijowska, małżonka Józefa Potockiego, który poźniej został Hetmanem W. K. Za czasów wojny szwedzkiej między Augustem II a Karolem XII przeszedł wojewoda Kijowski na stronę Szweda, i skolligacony z Stanisławem Leszczyńskim, dopomagał mu z orężem w ręku do osiągnienia tronu. Niepomyślne koleje wojny wyparły wojewodę z granic królestwa, zmusiły go szukać schronienia najprzód w Węgrzech, następnie na Wołoszczyznie. Wtedyto zawiązała się pomiędzy rozłączonemi małżonkami owa czuła korrespondencya, z której jednakże tylko następujący list przeszedł do wiadomości publicznej.

„Moja serdecznie kochana Wiktuleńko!

Przez trzy dni trzy listy już piszę do Ciebie, moje serce! różnie je adresując dla tego, aby tem prędzej którykolwiek z nich doszedł rączek ukochanych, gdzie żem na łaskawego zdawna trafił książęcia kraju tego, niech P. Bóg będzie za to pochwalon. Dlaczego *absolute* o mnie się moje serce nie turbuj, a wzajemnie o siebie ubliż turbacyi przez jakąkolwiek notę, ażebym wiedział, gdzie się z dziećmi obracasz, i w jakiem zostajesz zdrowiu. Za nic bowiem u mnie wszystkie pomienione fatygi, prace, niewygody, niebezpieczeństwa i tympodobne okoliczności — sama tylko niewiadomość obrotów i subsystencyi Ciebie, jedynej pociechy mojej, swedzi i mortyfikuje niezmiernie — ile miarkując, że i na pieniądzach a przez to i na wygodzie schodzić Ci musi. Dlaczego przez Boga proszę, dawaj mi znać gdzie się obracasz, a ja przecież szukać będę sposobu, aby choć ostatnim groszem posiłkować Cię mogłem. Obiecał mi wprawdzie król J. M. wszelkim sposobem, mieć Cię moja panno w protekcyi swojej; ale to często obietnice monarchów obietnicą tylko szczególną konkludować się zwykły. Zaczem na te nie spuszczając się, ratuj się Wiktuleńko jak możesz, zastaw a choć i sprzedaj co z *klinotów*, jeżeli bez tego obejść się nie może; będziem wkrótce da Bóg mogli mieć sposób albo to wykupić albo takie sprawić. Zgoła dla wygody swojej czyń wszystko, tylko resztę zostaw miłość poprzysiężoną i zdrowie, nad wszystko milsze temu, który nieinaczej tylko wzajemnie jest aż do zgonu — twój Wiktuleńko serdeczna! statecznie, serdecznie i wiecznie kochającym Cie mężem — J. Potocki, H. W. K. W. K. — *P. S.* Słońce nasze od wschodu już zapewne bliskie wnijścia, i wyjścia pomyślną życzliwym czyni otuchę. Więc iż i mnie w nienajdłuższym czasie pozwoli Wiktuleńkę moję serdecznie ścisnąć, mam nadzieję.“

Te sercowe i pieniężne turbacye temwiększe wzbudzą zajęcie, gdy sobie przypomnimy z Pamietników Otwinowskiego, iż tensam tułacz po cudzych stronach, który teraz musi doradzać żonie zastaw *klinotów*, niedawno żądał od króla Augusta II, aby mu jako udzielnemu książęciu ustąpił całego Pokucia, z obowiązkiem utrzymywania 12.000 wojska na usługi Rzeczypospolitej. Podwójnie więc żałowaćby należało, gdyby korrespondencya państwa Potockich miała straconą być na zawsze. Lubo jednakże nie posiadamy więcej ciekawych listów do *Wiktuleńki*, nie brak innych piśmiennych pomników miłości małżeńskiej w owych czasach. Zakończymy tu serdecznym wierszem poety i dziejopisa Kochowskiego do żony, nieznanej zresztą z imienia ani z familii.

Ciebież zapomnieć! ulubiony z wielu
W wszelkiem doznany szczęściu, przyjacielu!
Z ordynacyjej dany mi niebieskiej,
Nieodstępując do grobowej deski!

Przykre-li Austry, lube-li Zefiry
Wioną, znam affekt uprzejmy i szczery
Twój przeciw sobie, droga moja żono,
Pół duszy mojej i głowy korono!

Milszy mi z Tobą, gdy nieba pozwolą,
Przy miłej zgodzie kąsek chleba z solą,
Niż przy Tessalskiem Tempe huczne wety,
I Lukullowej splendecy bankiety.

Milej mi z Tobą, żyjąc na swobodzie,
Niźli w wyniosłym Nieporętu grodzie,
Gdzie w pawimentach marmury się pocą
A zjadłe serce frasunki kłopocą.

Milej mi z Tobą z tej ojczystej wioski
Cieszyć się zbiorem, nie znając co troski,
A przykrych sercu kłopotów nie liczyć —
Niźli na Żywcu z Wykupną dziedziczyć.

Milej mi z Tobą w zgodnej żyjąc sforze
Dóm i czeladkę swą trzymać w dozorze,
Niż włości mając, słyszeć jako fuka
Hutman na pana i ludna Przyłuka.

Milej mi z Tobą w spokojnym kąciku
Żyć nad potrzebę o jednym groszyku,
Niż Midasowej strzegący szkatuły,
Jak noc niespaną, tak dzień trawić czuły.

To me dostatki — miła moja żono!
W zgodzie żyć — droższe niż Kolchickie róno.
Zamierzonego dopędziwszy wieku,
Nie ciężka w zgodzie i umrzeć człowieku.

Teorye angielskie o systemie świata. Najulubieńszym przedmiotem wszystkich celniejszych dzienników angielskich są dziś rozprawy o systemie świata. W jednym z majowych numerów dziennika *Morning Chronicle* występuje pan *W. Adolph* z polemiką przeciw dwom artykułom dzienników *Times* i *Athenaeum*, które dowodziły obracania się księżyca około własnej osi. Pan Adolph mniema, iż ciało obracające się około osi cudzej, nie musi temsamem obracać się koniecznie dokoła własnej. W osobnem zaś dziele *The Simplicity of the creation* stara się tenżesam autor dowieść, że cała przestrzeń świata napełniona jest elektrycznością dodatnią; poruszające się zaś w jej przestworze ciała niebieskie, mają w sobie elektryczność ujemną. Najwięcej elektryczności dodatniej znajduje się w około słońca. przeco wytryskująca z słońca elektryczność ujemna, sprawia światło i ciepło. Teorye o obracaniu się ziemi w „próżnej“ przestrzeni nazywa autor niegodną stwórcy, bo odejmującą charakter doskonałości całemu stworzeniu. Bóg napełnił przestrzeń świata elektrycznością dodatnią, a taż właśnie sprawia, iż ciała niebieskie obracają się około własnych osi i około środkowego punktu wszechświata. Księżyc (zdaniem pana Adolpha) jest niedołężnym planetą, który nie ma w sobie związanej elektryczności ujemnej, a temsamem nie może obracać się w około własnej osi. Teorya ta znalazła wielu stronników, lubo z drugiej strony nie brak jej zawziętych przeciwników. Dzienniki *Times* i *Morning Chronicle* otwierają chętnie kolumny dalszym rozprawom w tym przedmiocie, a pan Adolph gotuje się wyłożyć swój system w osobnem dziele większych rozmiarów.

Osobliwości świata roślinnego. Gdybyśmy z nazwisk drzew chcieli wywodzić ich odpowiednie przymioty i własności, tedy życie lasów nie byłoby tak dzikiem i pustem jak sobie wystawiamy. Są wprawdzie w lasach drzewa *czosnkowe*, *cerdoines*, i drzewa *cuchnące, foetidae*, lecz za toż przebywa tam także kadzidło, używane zwykle w kościołach, drzewo *balsamiczne, amyrhis*. Zapuściwszy się w las, znajdziesz tam zaraz drzewo *papierowe*, *broussonis*, abyś mógł dać wiadomość o sobie. Ogarnie cię ciemność, tedy masz tam drzewo *łojowe, croton;* drzewo *olejne, dyandron;* drzewo *smolne* z rodzaju zwyczajnych drzew szpilkowych; drzewo *woskowe, mirica cerifera* i tysiące innych drzew, wypuszczających z siebie gazy połyskujące — owoż różne rodzaje oświetlenia, jakich używają w świecie cywilizowanym. Potrzebując odzieży, znajdziesz w lesie i drzewo *bawełniane, bombax*, i drzewo *jedwabne* z rodziny *mimosów* a nawet i drzewo *aksamitne, tournefortis*. Jeśliś głodny, poszukaj drzewa *chlebowego, artocape*, a spotkasz przytem i drzewo *wodniste* czyli *śnieżne, viburne;* winne grona, drzewo *mleczne, apocynoa;* drzewo *maślane, brassia buteracea;* drzewo *jajeczne, prunnus;* drzewo *jarząbkowe* czyli jarzębinę; a nadto jeszcze drzewo *kawowe* i krzew *herbaciany*. Być może że jeszcze w ciągu bieżącego roku zaznajomi nas jakiś słownik z drzewem polędwicowem. Dziś znajdziesz już drzewo migreny, *premne*, a jeśliś łysy, masz na swoje usługi drzewo *perukowe, sumac*. Znajdziesz także w głębi lasu drzewo *miłośne*, z rodziny *cercyzów*, bo cóż znaczyłby las bez miłości. Drzewo to jest dużym krzewem prześlicznym z zielonemi listkami i wonnem kwieciem różowem. Lecz jakieś smutne przeznaczenie ciąży nad tym kwiatem nadobnym. Używają go na sałatę z octem przyprawianą! I nie tu jeszcze koniec bogactwom lasu. Posiada on także drzewo *głupoty*, kojarzące częstokroć gałęzie swoje z gałęziami drzewa miłości; jest w nim i drzewo *smutku*, które tylko w nocy kwiat swój rozwiera. Oprócz tych rośnie w lasach jeszcze inne drzewo, ładniejsze od wszystkich wymienionych, cenniejsze od samegoż drzewa chlebowego, a przyjemniejsze niż samo drzewo *miłości*. Jestto *drzewo pieniędzy, protea argentea!* Łacińskie imię jego wzięte jest od owego tajemniczego bożka morskiego, który mógł dowolnie przybierać różne postacie, i raz stawał się bożkiem, częściej zaś bezrozumnem bydlęciem. Znajduje się jeszcze w borach drzewo *boskie* i drzewo *diabelskie*. Masz wolny wybór! Drzewo *boskie* jestto skromny krzew figowy; drzewo diabelskie — to ów *hurdis crepitans*, który owoce swoje z trzaskiem rzuca podróżnym, zapewne aby ich przywieść na pokuszenie i złowić w sidła swoje.

Sekret kuchni staropolskiej. W jednym z najpiękniejszych poematów literatury polskiej czytamy prześliczny opis „ostatniej uczty staroszlacheckiej“, przy której pomiędzy innemi osobliwościami występuje także arcydzieło dawnej sztuki kuchennej:

„Sekret w końcu kucharski: ryba niekrojona,
U głowy przysmażona, we środku pieczona
A mająca potrawkę z sosem u ogona,

W owej zaś starożytnej książce kucharskiej, o której przed niejakim czasem uczyniliśmy wzmiankę,

znajduje się następujący przepis na przyrządzenie tego specyału — nieobojętny może dla dzisiejszych wnuk i prawnuczek, gdy niegdyś takiej wagi w życiu prababek. „Drugi sekret kuchmistrzowski: Szczuka jedna całkiem nierozdzielona, nie rozkrajana, smażona głowa, warzony środek do rosołu albo sosu, pieczony ogon. Którą tak zrobisz: Weźmij szczukę, jaką wielka chcesz, ogol trochę od głowy. w środku zostaw łuszczkę, od ogona też trochę ogol, spraw, natknij na rożen mięsny, a środek z łuszczką obwiń chustą i obwiąż sznurkami. Zmaczawszy tę chustę w occie winnym osolonym, potrząśnij też solą głowę i ogon, a przyłożywszy do wolnego ognia, piecz a obracaj. Miej ocet winny solony w rynce przy ogniu, któryby wrzał, a polewaj nim często tę chustę, którąś obwinał szczukę. Głowę też wcześnie posmaruj oliwą albo olejem albo masłem, a potrząśnij trochę mąką pszenną; i drugi raz i trzeci raz to uczyń, to się smażyć będzie. A ogón na ostatku, gdy się rumienić pocznie, posmaruj także czem chcesz. ale mąką nie potrząsaj. A gdy rozumiesz, że już gorąco, zdejmij z rożna, chustę odwiń — będziesz miał szczukę smażoną, warzoną i pieczoną."

Środek do utycia i środek do zeszczuplenia. Obok znanej już dawniej mąki *Nafé d'Arabie*, której pożywanie przymnażać ma krwi i ciała, wynalazł świeżo pewien aptekarz francuski jakieś *Nao de Chine*, wywierające właśnie skutek przeciwny. Utrzymują jednakże złośliwi, iż obadwa te środki cudotwórcze, są tylko jedną i tążsamą mąką z soczewicy, różniącą się tylko rozmaitym kształtem i kolorem pudełek, o dziwotwornych napisach w wielu językach zagranicznych. Przypomina to ciekawą anekdotę o sławnym aktorze francuskim *Perlet*. Był on niezaprzeczenie jednym z najchudszych ludzi swojego czasu. Przywiedziony do rozpaczy swoją szkieletową postacią, szukał Perlet rady lekarzy, i udał się z ich polecenia do wód mineralnych w Bourbonne. Jakoż nie zaniedbał kuracyi, i był niewątpliwie najpilniejszym z gości u kąpiel. Całe dnie przesiadywał w wannie, przypatrując się ciału chudemu, czy przypadkiem nie okaże pomyślnych śladów rady lekarskiej. „Tylko cokolwiek cierpliwości!" — mawiał mu co rana lekarz miejscowy. — „Nad nasze źródła nie masz w świecie skuteczniejszego środka do utycia." Kąpał się też biedak bez wypoczynku, ale jakoś bez widocznego skutku. Wtem pewnego razu, siedząc właśnie w kąpieli, usłyszał tuż obok głos tegożsamego lekarza, w rozmowie z jakąś kąpiącą się panią. „Cokolwiek cierpliwości!" — mówił łazienkowy Eskulap. — „Nad nasze źródła nie masz w świecie skuteczniejszego środka do zeszczuplenia." Nieszczęśliwy Perlet jak oparzony wyskoczył z wanny, ubrał się w mgnieniu oka, i uciekł co tchu z łazienek. I byłby zapewne dotąd jeszcze uciekał, gdyby nie umarł przed kilką laty.

Czułość konia. W dowód szczególniejszej czułości konia opowiada pewien dziennik francuski następujące ciekawe zdarzenie: „Temi dniami zatrzymał się przed pewnym domem parokonny powóz. Nieszczęście chciało, iż właśnie w tymżesamym czasie przejeżdżały obok powozu ciężkie i niezgrabne taczki. Jeden z koni, młody i żywy, spłoszył się, i stanął tak nieszczęśliwie, iż koło taczek przejechało mu przez nogę. Biedne zwierzę odniosło ciężkie skaleczenie, i cierpiało ból nieznośny. Warto było jednak widzieć rozrzewniające współczucie, jakie okazywał mu różnemi sposobami przyjacielski towarzysz w zaprzęgu. Z widoczną boleścią całowało szlachetne zwierzę głowę skaleczonego druha, i starało się usilnie wylizać mu ranę krwawą. Gdy zaś woźnica wyprzągł konia skaleczonego, aby go powoli odprowadzić do stajni, czuły towarzysz rwał się za nim z taką gwałtownością, iż z wielką tylko trudnością zdołano go powstrzymać na miejscu. Ciekawe to zdarzenie przypomina poniekąd opowiadanie kapitana *Boussanelle* w jego *Spostrzeżeniach wojskowych.* Wyczytujemy w niem, iż w pułku *de Beauvilliers* znajdował się w roku 1757 koń, który przy nadzwyczajnej rączości i wielu innych zaletach stracił nagle z starości wszystkie zęby. Nie mogąc przez to żuć ani owsa ani siana, musiałoby było biedne zwierzę zginąć śmiercią głodową, gdyby nie dwaj przy jednym żłobie stojący towarzysze. Przejęci litością nad jego stanem żywili je oni przez całe dwa miesiące t. j. aż do samej śmierci, przeżuwając mu siano, i rozgryzając przytwarde ziarno owsa. Z macierzyńską pieczołowitością czuwały nad biednym starcem obadwa szlachetne zwierzęta, podsuwając mu na wyścigi przeżuty obrok. „Świadkami tego wypadku" — dodaje kapitan Boussanelle — „byli wszyscy oficerowie i żołnierze jednego eszkadronu w pułku *Beauvilliers.*"

Komplement tatarski. „Powiadał mi niedawno potworne głupstwo tatarskie pan Kmita, marszałek w W. księstwie Litewskim" — opiewa pewien ustęp pamiętników epoki zygmuntowskiej. — „Przyjechał, prawi, tatarski poseł na Wołyń do Janusza biskupa na on czas wilnieńskiego, gdzie biskup nie mając na ten czas dworu swego, uczynił tak: Izbę w której go przyjmować miał kazał obwieszać sieciami, w rzeczy to nie w domu swoim biskup, ale na łowiech. I tam kazał posła przyprowadzić, który oddawszy dary, dwie strzałce od cara, a chustkę modrą od carowej, nie miał nic innego w swej legacyi, jedno zalecanki. Janusz wysłuchawszy cara, kazał wielki kousz starego miodu przynieść, który posłowi za zdrowie jego pana wypić rozkazał, a ten kiedy kilka sporych trunków uczynił, począł się pilnie przypatrować twarzy i ubiorowi biskupiemu, jako na ten czas bisknp ubrał się był ogromnie, w szatę szeroką a bogatą, bieret wielki, rogaty, staroświecki; sam też obwyż, jakoby na majestacie siedział. Nakoniec gdy Tatarzyna on miod rozszedł, a bez ustanku oczy wytrzyszczywszy na biskupa patrzał, spytał go łagodnemi słowy biskup, dlaczegoby mu się tak pilno przypatrował? Tatarzym upity odpowiedział: Ten słuch, prawi, u nas jest w hordzie o tobie, jakobyś dwie głowy nosił na swych ramionach, a dla tego mój pan z tym ledajakim poselstwem mnie tu posłał, abym się przypatrzył temu: Ja pak *wiżu* u ciebie nie dźwie hołowie, ale *odnu, da* dobru."

Przypowieści. — Po nieśmiałym jeźdcu konia, a po śmiałym mężu — wdowy szkoda dostawać.

Cudzemu psu, cudzemu koniowi, i cudzej żonie, nie trzeba dowierzać.

Biada tej kokoszy, na której jastrzębie łowią.

Błogo temu przy dworze, komu doma pług orze.

Końskim nogom, szeptanej powieści, kupieckim zalotom, opatrznie trzeba wierzyć.

Kiedy pies spi, żyd przysięga, pijany się modli, a białogłowa płacze, rzadko wierzyć trzeba.

Jaje dzisiejsze, chleb wczorajszy, ciele sześćniedzielne, a wino łońskie (z przeszłego roku) najlepsze.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*